



Zaczął się kolejny dzień wyprawy. Piąty, szósty? Szczęśliwi czasu nie liczą, więc nie będę się nad tym zastanawiać. Za nami zaledwie pobyt w Delhi i Jaipurze a wrażeń moc... Dla mnie wszystko zaczęło się w maju, kiedy Kumar po jednej z lekcji zapytał jakie mam plany na wakacje. Domyśliłam się do czego zmierza, więc bez zastanowienia odpaliłam - ŻADNYCH i że chętnie pojedę do Indii. Potem zaczęło się odliczanie do wylotu, który zaplanowano na 12go lipca. Do początku lipca chyba żaden z uczestników wyprawy nie miał czasu na zastanawianie się „jak to będzie”, bo matury, egzaminy, klasyfikacja końcowo-roczna, a młodzi - matury, egzaminy, klasyfikacja końcowo-roczna... O tym, że to niedługo, już i „za chwilę” zaczęliśmy myśleć jakoś na dwa - trzy tygodnie przed wyjazdem. Przygotowania do wyprawy ruszyły pełną parą. Ekipa spotykała się w szkole praktycznie każdego dnia, a jej członkowie załatwiali wizy, naklejki i długopisy z logo wyprawy, znosili do szkoły setki rzeczy, które planowali zabrać w podróż i wykorzystać podczas jej trwania albo rozdać jako „gifty” Indusom poznanym w drodze. 10go lipca nastąpiło wielkie pakowanie w asyście przedstawicieli lokalnych i ogólnopolskich mediów. Chłopcy urządzili sobie też w męskiej toalecie mały zakład fryzjerski i po koleżeńsku, czyli jeden drugiemu, zgolili sobie włosy niemal do zera, wychodząc z założenia, że w drodze przez subkontynent indyjski tak właśnie będzie wygodniej z mikroczipryną.

Nasz wyprawa, zgodnie z założeniami, zaczęła się w nocy z 11go na 12 lipca. Na miejscu zbiórki, czyli pod Słowakiem, zebrała się grupa wyjeżdżających, oczywiście my - opiekunowie i spory tłumek tych, którzy chcieli nas pożegnać. Do Warszawy dotarliśmy zaskakująco szybko, bo w trzy i pół godziny. Odprawa na Okęciu też przeszła bezproblemowo i pozostało nam czekać na samolot do Zurichu. W Szwajcarii już tylko przesiedliśmy się do samolotu lecącego do do Indii i siedem godzin później mogliśmy odetchnąć gorącym powietrzem Delhi.

Indie mnie nie zaskoczyły, bo już z wcześniejszych wyjazdów znałam ten gorący oddech subkontynentu, pamiętałam gwar ulicy, który oszołamia tych, którzy przylatują tu po raz pierwszy. Ja już znałam ten zapach, będący dziwną mieszaniną przypraw, kwiatów i...uryny. Oni - uczniowie zaczynali dopiero odkrywać to miejsce na mapie, które ja kiedyś tak pokochałam.

Na Pahar Ganj, do hotelu RELAX (A jakże!) przyjechaliśmy około drugiej w nocy? Nie wiem. Byłam zmęczona, chciałam jedynie zrzucić plecak, umyć się i przyjąć pozycję horyzontalną, tym bardziej, że następnego dnia mieliśmy już w planach ZWIEDZANIE.

Pierwszy dzień w Delhi był intensywny, choć zobaczyliśmy tylko Lotus Temple, czyli największą bahaistyczną świątynię w Indiach. My - opiekunowie załatwiliśmy sobie indyjskie numery i karty telefoniczne, a wszyscy musieli wymienić dolary na miejscowe rupie, co zajęło mnóstwo czasu, zważywszy, że już pierwszego dnia grupa, idąc na Connaught Place... rozdzieliła się i część pogubiła. Bo po zatłoczonych ulicach indyjskich miast trzeba umieć chodzić a zwłaszcza trzeba umieć przez nie przechodzić. Do perfekcji opanował tę sztukę Kumar (na co dzień Pan Dyrektor), który idąc pieszo, osiąga prędkość niezłej klasy skutera.

Następnego dnia, czyli 14go lipca... ja i Chacha Rysiu obchodziliśmy kolejne nastę urodziny i z tej okazji Big Chacha zabrał nas i resztę wyprawowiczów... do grobowca Humayuna, czyli



miejsca spoczynku władcy z dynastii Wielkich Mogołów zaś stamtąd rikszami przejechaliśmy do świątyni Akshardham na wschodnim brzegu Jamuny, zaliczanej do największych świątyń hinduistycznych na świecie. Co ciekawe, ta świątynia została otwarta całkiem niedawno, bo w 2005 roku. Ten dokładniej mówiąc kompleks świątynny może i robi wrażenie wielkością, ale także tym jak bardzo jest chroniony. Żeby zwiedzić trzeba grzecznie stanąć w kilometrowej kolejce i oddać wszystko - torbę, plecaczek, wodę, aparaty i kamery, a także - o zgrozo - telefon. Po wszystkim oczywiście trzeba stanąć poz raz drugi w długim ogonku, by odebrać swoje manatki. W sumie nie trzeba, ale jeszcze głupio zostawić. A temperatura i palące słońce nie pomagają kiedy się tak wyczekuje pod okienkiem.

Z Delhi pojechaliśmy nocnym pociągiem do miasta Jaipur. Ten pociąg i dworzec, z którego odjeżdżaliśmy co najmniej zadziwiły naszą młodzież. Pozowanie „lokalsom” do zdjęć na peronie trzeba było przerwać kiedy wjechał na stację kolos, do którego musieliśmy się szybko załadować z plecakami na plecach, pleczkami na kłatach i z butelkami wody w obu rękach. A w wagonach, za dnia niebieskich i przyjaznych, po pierwszej w nocy było ciemno, obco i duszno. Młodzi w końcu odnaleźli swoje miejsca, ale jak się okazało rano - wielu z nich nie spało, bo czuli na sobie wzrok współtowarzyszy podróży. Rano wszystko i dla tych najbardziej wystraszonych odzyskało właściwy wymiar, znormalniało... bo Indusi są życzliwi, zawsze uśmiechnięci i zwyczajnie nas ciekawi.

Jaipur poznawaliśmy dwa dni. Trudne dni. O upałach i wilgotności nie będę pisać, bo tych trzeba doświadczyć na własnej skórze, żeby zrozumieć jak tu jest. Te dni w Jaipurze były trudne, bo większość młodych - jak to ująć dyplomatycznie...? - zmagająca się z problemami natury...gastrycznej. Rezultat zmagania? Zużyto jakieś 457 rolek papieru toaletowego i młodzież ZDROWA. W Jaipurze zobaczyliśmy Pałac Miejski i Hawa Mahal tj. Pałac Wiatrów, a następnego dnia między innymi Amber Fort, czyli położony kilkanaście kilometrów od Jaipuru kompleks budowli pałacowo - obronnych. Początki samego miasta Amber sięgają ok.1000 roku, choć budowa Fortu, a dokładnie części teraz udostępnianej turystom, rozpoczęła się w XVI wieku. Z Amber Fort pojechaliśmy do wioski, w której zmieniliśmy środek lokomocji na większy a w dodatku z uszami i trąbą. Młodzi wygodnie rozsiedli się na słoniowych grzbietach i wybyli... a jeśli chodzi o statystyki po tym dniu, to chyba łatwiej policzyć zużyte rolki papieru niż selfie ze słoniem, które wtedy zrobiliśmy. Po południu natomiast zwiedzaliśmy Świątynię Galta Ji, o której w przewodnikach stosunkowo mało... Cześć tego kompleksu wygląda jakby wychodziła ze skały, a pośród budowli są święte stawy, służące wyłącznie mężczyznom do rytualnych kąpeli.

W Jaipurze poszliśmy też kina na film pt. Jagga Jasoos (przygodowy, z zagadką w fabule, tańcami i piosenkami jak to w produkcji indyjskiej). I co w tym dziwnego? Wszystko. Bo kino w Indiach to wielka rzecz - rocznie produkuje się tu około tysiąca filmów, najbardziej znani aktorzy mają status bogów, a widzowie w kinach żywo i głośno reagują na każdą piosenkę, taniec, o scenie pocałunku pary głównych bohaterów nie wspomnę... klaszczą, komentują, cieszą się, przybijają piątki. A potem pozostało nam już tylko upchnąć na nowo rzeczy w plecakach i ruszyć w dalszą drogę.